XXIV. Kraków, 1 lutego 1921 r. Nr. 3.

„BOCIAN"

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie: z przes. poczt. 57 M. 20 f. Do Ameryki rocznie 3 dolary.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
KRAKÓW XV., ul. Kazimierza W. 83 (dom własny). Telefon Nr. 679

[illegible]

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.

Wyłączne zastępstwo i główny skład na Lwów w biurze K. BUCHSTABA, ul. Karola Ludwika 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. Biuro dzienników „Promień" Łódź, Piotrkowska 81.

CENY OGŁOSZEŃ: Za wiersz petitowy jednoszpaltowy na stronie inseratowej Mrk. 3·—, na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mrk. 4·—, za wiersz nonparellowy jednoszpaltowy Mrkp. 5·—, za wiersz petitowy w części redakcyjnej Mrkp. 15·—.

Numer pojedynczy **10 Marek.** **Redaktor: K. Krumłowski.** Numer pojedynczy **10 Marek.**



Ostrożna pokojówka: Niech się pani tak bardzo nie wychyla, bo jeszcze prokurator coś zobaczy...



U bram nieba.

Do furty niebieskiej dobijał się klecha
Okryty zakonnym kapturem.
— „Otwórzcie-no Piotrze! nie wielka uciecha
Na niebo tu czekać pod murem!“

— Zaczekaj-że bratku!“ Piotr na to powiada:
„Coś waszeć gorąco kąpany!
„Nie wejdziesz do nieba, sąd jeszcze zasiada,
„I wyrok nie został wydany!“

— „Co? sądzić mnie mają? Opata? Przeora?
Jak mnicha zwykłego-braciszka?
Wszak bronią mnie: czystość, ubóstwo, pokora,
I pasek świętego Franciszka!“

— „Ho, ho! przyjacielu! Nie unoś się złością!
Świętego nie wołaj na świadka!
I w oczy mi nie świeć swą... niby czystością,
Bo sprawa nie bardzo tu gładka!“

— „Zamilknij, rybaku! I schowaj swe grosze!
Prostackich twych rad mi nie trzeba!“
— Powoli przeorku! Nie unoś się, proszę!
Za chwilę już wejdziesz do nieba!“

Wpadł Anioł z wyrokiem. Piotr za łeb cap duszę
Z obawy by snać nie uciekła.
— „Skazany!“ zawołał — „na wieczne katusze!“
Dał w kark i wypchał do piekła.

Recenzent teatralny.

W średnich wiekach żaden pater
Nie mógł chodzić na teatr
Bo czart mógłby swoją rękę
Włożyć księdzu pod sukienkę.

Zmykał nawet od jasełek
By uniknąć pokus pchełek
Nie odprawiał więcej on nic
Prócz rozmyślań u zakonnic.

„Głos Narodu“ katolicki —
Recenzentem — ksiądz Błotnicki,
Jest — do dyabłów całej setki —
— Recenzentem operetki!

Gdzie jest Muza podkasana
Damskie łydki i kolana
Krótko, gdzie jest operetka
Tiech ksiądz nosa swego nie tka!...

„Głosie“! Synu katolicki!
Gdy chcesz — żydków szarp za łeki,
I prorokój i prowokój
Lecz teatrom — daj już pokój!

Na sali balowej.

— A gdzie mój wachlarz?... Czy nie siadł pan na nim przypadkiem, panie Stefanie?...

Pan Stefan zrywa się jak oparzony i przekonuje się, że tak jest w samej rzeczy. Podaje wachlarz z galanteryą pani Franciszce:

— Teraz dopiero rozumiem, skąd ten przyjemny chłód, który czułem z tamtej strony!..

Nowa waluta.

(Rozmowa dwu kokotek).

— Kłopot mam z mym gospodarzem. Koniecznie mu się zachciało, bym mu płaciła czynsz za mieszkanie we frankach lub lirach...

— Mój jest wyrozumialszy. Powiada wprawdzie, że wolałby monetę brzęczącą, zamiast papierów, ale dodaje zaraz: „Kto niema złota, srebra ani miedzi, niech płaci bodaj tem, na czem siedzi“...

Wytłómaczył.

— Tatuńciu — pyta synek swego rodziciela — Czy to prawda, że Pan Bóg stworzył Ewę z żebra Adama?

— Oj, tak!... — odpowiada zagadnięty z głębokiem westchnieniem — Dlatego to tak często staje kobieta kością w gardle człowiekowi...

Proszę płacić!...

W pewnej restauracyi wdaje się gość w rozmowę z gospodarzem:

— A często też zdarza się — pyta ciekawie — że przyjdzie gość, zje i wypije, a potem pokazuje się, że nie ma czem zapłacić?...

— Trafia się, ale rzadko!... Do mojego lokalu uczęszcza tylko elegancka i porządna publiczność...

— A cóż zrobiłby pan w podobnym wypadku?...

— Kopnąłbym takiego dziada niżej pleców i wyrzucił za drzwi...

Po chwili woła gość kelnera i poleca mu, aby poprosił gospodarza.

Gdy ten się natychmiast zjawił, elegancki gość wstaje, odwraca się doń tyłem, podnosi nieco marynarkę i rzecze najspokojniej w świecie:

— Proszę płacić!...

Z sprawozdania balowego.

...Przez salę balową przesunął się barwny wąż tańczących, należących do wszystkich sfer naszego społeczeństwa. Zauważyliśmy między innymi pana Korzeniowskiego z panią Stojowską, pana Gałeckiego z panią Twardowską, pana Dzierżyńskiego z panią Głębocką i wiele wiele innych...

Zawsze jedneki

Bankier (do krawca): Proszę o przedłużenie tych spodni, gdyż są za krótkie...

Nie udało się.

(Stara historya z odnowionym końcem).

Pan Jan i Pani Niusia było to wzorowe małżeństwo, jakich u nas spotyka się tysiące. Wobec ludzi czulili się do siebie, jak gdyby się dopiero pobrali, w domu był pan Jan ofiarą swej połowicy, która nie miała go i za psie poszycie i całą swą energią, odziedziczoną po przodkach, wylewała w stronę małżonka i służącej Kasi.

Pan Jan znosił swój los w milczeniu, sądząc, że za te doczesne cierpienia czeka go po najdłuższem swem życiu wieczny spokój, znosiła je jakoś i Kazia, gdzie roboty nie było wiele, dochód z „koszykowego“ był ładny, pozatem nie chciała się pozbywać miłego sąsiedztwa, a tem był Franek, forysie od pana kapitana z drugiego piętra, który „miał się ku niej...“ i obiecywał, że się z nią ożeni, niech tylko wysłuży swoje lata przy wojsku.

Pani Niusia, jak każda zresztą żona, była zazdrosna, szczególnie zatem nie podobało się jej, że małżonek wracając późno do domu (a to powtarzało się prawie codziennie...), przechodzić musi przez kuchnię, gdzie się jakoś zadługo zatrzymuje, twierdząc na swą obronę, że tam zdejmuje trzewiki, aby nie obudzić swej lepszej połowy...

— Już ja wolę — mówiła — abyś szczegóły garderoby zała'wiał w pokoju sypialnym...

Ciągle jej się zdawało, że w tem coś jest, zwłaszcza, że pan Jan odnosił się bardzo życzliwie do Kasi, jak wogóle każdy mężczyzna do ładnej dziewczynki.

A Kasia, trzeba to przyznać, była i ładna i fertyczna i lubiła do mężczyzn, nawet starszych, jak to mówi się „szczerzyć zęby“...

Wąż zazdrości, który wślizgnął się w serce pani Niusi i widocznie czuł się tam, jak w domu, gdyż wyleść stamtąd w żaden sposób nie chciał i dotąd jej nie dał spokoju, aż postanowiła zbadać sama, co dzieje się w czasie przechodzenia małżonka przez ciemną kuchnię. Badała w tym kierunku Kasię, ale ta jej wręcz odpowiedziała, że zmęczona pracą całodzienną, śpi już, gdy pan wraca.

Pewnego wieczoru zwróciła się zatem pani Niusia do Kasi z rozkazem:

—Kasiu!... Zabierz posłanie i przenieś się do salonu... Boję się, aby tamtędy nie dostali się do salonu złodzieje...

Kazia nie miała zbytniej ochoty, ale musiała być posłuszną, zabrała swe bety i udała się we wskazanym kierunku.

Po pewnym czasie, gdy już w domu się uspokoiło, pani Niusia przeniosła swą pościel cichutko do kuchni i ulokowała się na łóżku Kasi, mrucząc z zadowoleniem:

— Ani się spodziewasz panie mężu, jaka cię czeka niespodzianka...

Nie zmrużyła naturalnie oka, nadsłuchując... W godzinę może, lub dwie, straciła bowiem rachubę czasu, usłyszała skrzypienie schodów i jakieś ciche kroki.

— Aha!... rzekła sobie w duchu. — Wiarołomny małżonek zdjął trzewiki już na schodach, aby mieć więcej czasu na swe łajdactwa... No! już ja ci zmyję głowę tak porządnie, że nie będziesz wiedział skąd jesteś rodem!....

Drzwi skrzypnęły cicho, do kuchni wślizgnęła się jakaś postać, widocznie dobrze z jej otoczeniem obeznana, gdyż skierowała się prosto w stronę łóżka....

Pani Niusia udawała że śpi, tajemniczy przybysz szepnął „Kasiu!“... a nie usłyszawszy odpowiedzi tylko głośniejsze chrapnięcie, siadł na krawędzi łóżka i począł śpiącą obsypywać pocałunkami. Była to pieśń bez słów, a gdy zabrzmiał jej finał, pani Niusia uważała zaś, że czas zdemaskowania wiarołomnego nadszedł, zwłaszcza, że ten zabierał się już do odwrotu, w stronę drzwi od sieni, co ją nieco zdziwiło... wyciągnęła z pod poduszki przygotowane zapałki.... Zapaliła światło, i pani Niusia przekonała się z przerażeniem, że ma przed sobią.... Franka, forysica od pana kapitana z drugiego



Grzeczny Jaś.

W odwiedziny do rodziców Jasia przybyła ciocia. Podczas rozmowy napada ją paroksyzm kaszlu, i nie opuszcza ani na chwilę... Wszelkie środki zaradcze, jakie były pod ręką, pozostają bez skutku.

Mały Jaś ma bardzo dobre serce, żal mu się zrobiło biednej cioci, która tak musi cierpieć, wybiega więc z pokoju, a po chwili wraca z jakiemś pudełeczkiem, które podaje kaszlącej ze słowami:

— Proszę spróbować!... Może to pomoże!...

— A cóż to jest?... — pyta ciocia — Zapewne cukierki na kaszel?...

— Nie, proszę cioci!... To są czopki, których dziadziu stale używa, ilekroć mu dokuczają hemoroidy...

Z przekonania.

W towarzystwie toczy się rozmowa na temat przechodzenia żydów na katolicyzm. Większość jest zdania, że w grę wchodzi tu zwykle interes.

— Bardzo przepraszam — przerywa pan Kohn — są wyjątki... Ja naprzykład, zostałem katolikiem z przekonania... Byłem przekonany, że mi to pomoże przy awansie i nie zawiodłem się bynajmniej!...

Z teologii.

— Dziesiąte przykazanie Boskie powiada wyraźnie: „Nie pożądaj żony bliźniego twego". O mężach niema mowy, zatem uwiedzenie cudzego męża nie jest widocznie karygodne...

— Owszem!... Przecież zawsze dziesiąte przykazanie napomina wyraźnie: „Ani wołu, ani osła...", a to się właśnie do mężów odnosi...

Nowe przysłowie.

— Nie czynszem go, ale świadczeniami dodatkowemi.

Enfant terrible.

Panna Mania ma bardzo niegrzecznego braciszka, który ją swem zachowaniem doprowadza nieraz do rozpaczy.

Onegdaj znów ją zgniewał, odzywa się też do niego oburzona:

— Jeżeli nie przestaniesz, wypędzę cię na cztery wiatry...

Słowa te słyszy pewien młody człowiek i robi uwagę:

— Nawet nie wiedziałem, że pani rozporządza taką mnogością wiatrów...

— O tak, proszę pana — braciszek panny Mani na to — odkąd magistrat zamiast mąki daje pęcak i fasolę, Mania ciągle skarży się na wiatry...

Dodatkowe świadczenia.

— Te „dodatkowe świadczenia" to też dyabelski wynalazek...

— Toż to stare, jak świat!... Przed laty odnajmowałem pokój od pewnej wdowy, która miała dorastającą córkę i do dziś, na podstawie wyroku sądowego, muszę jej płacić miesięcznie pewną kwotę za „dodatkowe świadczenia"...

Źle zrozumiał.

— Stale mi coś chodzi po głowie!... — rzekł pan Jan, pukając się w czoło — Ale sam nie wiem, co..

— Weź gęsty grzebień, to się przekonasz!... — odpowiada na to przyjaciel.

— Nie zrozumiałeś mnie!... To chodzenie odbywa się nie na zewnątrz, lecz na wewnątrz. Zrobię jakiś genialny wynalazek, lub napiszę taki dramat, że... klękajcie narody.

Nie pomylił się!..

Pewien pastor, zawiadamiając przyjaciół o narodzinach syna, użył, jak zwykle, kaznodziejskiego tonu:

— Dzięki Panu, który mieszka nad nami, powiła wczoraj moja ukochana małżonka zdrowego syna.

I nie pomylił się podobno, gdyż bezpośrednio nad nimi mieszkał pewien pomocnik, który bywał częstym gościem w domu państwa pastorów...





Senat.

Niech nam żyją dawne czasy!
Dawne czasy polskiej szlachty!
Niech ożyją w młodej Polsce
Konwentykle i konszachty!

Niech tradycya w dzwon uderzy
Niech brzmi na wsze kraju strony!
Oto w Sejmie w ciężkim trudzie
Został Senat uchwalony!

A ty chłopie i ty łyku
Za kontusza połę czep się!
Milcz i słuchaj Senatorów!..
Pospolity, głupi plebsie!

Górą nasza demokracya!
Naród z chłopem, chłop z narodem!
Lecz z wyraźnem zastrzeżeniem,
Że senator zawsze przodem!

Niechaj żyją dawne czasy!
Niech reakcya stara hula
Gdy nam Senat uchwalili
Może mam uchwalą króla!

Bojowniku praw wolności,
Mieszczaninie jak i chłopie!
Krzywdę robisz swej Ojczyźnie
I wstyd wolnej Europie!

Pod znakiem czasu.

Nauczyciel: Co tam za niepokój?...

Głosy z ławki: To Mandelbaum, proszę pana profesora, urządził atak gazowy...



piętra. Ten jednak widocznie nie zauważył zmiany w zwykłej zawartości łóżka. szepnął bowiem słodko, posyłając jej od ust całusa: „Pa Kasiu!... Jutro znowu przyjdę!... i znikł w sieni....

Pani Niusia chciała krzyczeć z wściekłości, ale w porę przyszła do przekonania, że się to na nic nie przyda... może ją co najwyżej ośmieszyć w oczach domowników, gdy się dowiedzą, co zaszło... Czuła się zresztą jakoś tak dobrze i błogo, jak już dawno nie pamiętała. Potężny śpiew miłości, który choć bez słów, widocznie ją opanował, doprowadził ją do pewnego stanu melancholii w przystępie której szeptała:

— Mój Boże!... I dlaczegoż to nie był on!..

Doleżała tak do rana, gdy się już rozjaśniło, przeniosła się z powrotem do swej sypialni....

Ale tu niczem grom z jasnego nieba ugodził w jej serce.... widziała męża leżącego najspokojniej w swojem łóżku i wydającego, co było jego zwyczajem, nieznanego rodzaju niecharmonijne tony, zlewające się w jakąś fantastyczną symfonię....

Przybiegła do łóżka i szarpiąc pana Jana za rękę wołała:

— A ty skąd się tu wziąłeś?...

Zbudzony niespodziewanie, nie zdając sobie z tego sprawy, że nie jest już w klubie, przy zielonym stoliku, lecz w małżeńskiej łożnicy, wykrztusił:

— *Pas!*

Pani Niusia westchnęła, jak gdyby chcąc dać do poznania, że wie o tem od dawna, ponowiła jednak usiłowania celem doprowadzenia małżonka do przytomności i powtórzyła gorączkowo pytanie....

— Jak to skąd?... — odparł. przecierając oczy. — Z nieba nie spadłem, ale wróciłem z klubu ....

— Kiedy?...

— Albož ja patrzyłem na zegarek?... W każdym razie będzie temu kilka godzin....

— Którędy?... — badała dalej z wrastającą niecierpliwością:

— A którędy?... Nie oknem, bo zamknięte, ani kominem, gdyż na łopacie latać nie umiem!..

— Głupie żarty!.... Ale nie przez kuchnię?..

— Pewnie, że nie!... Przecież dopiero kiedyś kazałaś mi wracać przez salon i w tym celu zabrać ze sobą klucz od tamtych drzwi... Tak też zrobiłem!....

— I nie zdziwiło cię, gdyś mnie w łóżku nie spostrzegł?...

— Nie!... Pomyślałem sobie, że to jakiś nowy twój koncept, zresztą powiedziała mi Kasia....

— Więc z nią rozmawiałeś?...

— Naturalnie!... O mało nie wybiłem sobie zębów na jej posłaniu... Sądziła, że to złodzieje i chciała krzyczeć... Ledwie mi się ją uspokoić udało!... Ale, daj mi spokój, gdyż chce mi się spać...

Pani Niusia była złamaną na duchu, niczem wątła palma pod naporem szalonego wiatru (choć ważyła przeszło sto kilogramów). Z jej całego, jak się wydawało, tak mądrze i misternie obmyślanego planu nic!... Same niepowodzenia, tak w kuchni, jak w salonie... Była poprostu wściekła, widząc, że sama do tego przyłożyła rękę... Najbardziej gryzła ją siła uspokojenia Kasi przez męża i przekonywanie jej, że to swój nie obcy....

Przez cały dzień ziewali ciągle, tak pan Jan, jak i pani Niusia, niemniej i Kasia, na którą odtąd pan Jan spoglądał jeszcze czulszem okiem, ale z rozkazu małżonki wracać musiał wieczorem wyłącznie przez salon, gdzie już pościeli Kazi nie było.





— Pani poszła do teatru! Czy nic ci nie mówiła na odchodnem?

— Tak! żebym się strzegła natarczywości.

— Mojej?

— Nie! pana porucznika! Ho! ho! pani go dobrze zna!



Areopag znawców sztuki: Głos i nogi dobrze postawione!



— Na tym balu zgubiłam serce!

Starszy pan *(podnosi suknię)*: Czy wolno poszukać?



— Idę do klubu na karty. Jeżeli przegram, to znaczy szczęście w miłości, więc przyjdę do ciebie...

— Jeżeli przegrasz to nie masz tu po co przychodzić...



— Jedziemy do Ameryki! Niema pan jakiej odpowiedniej książki do czytania.

— Owszem!... „Kodeks karny z szczególniejszem uwzględnieniem prawa Lintsohna!“

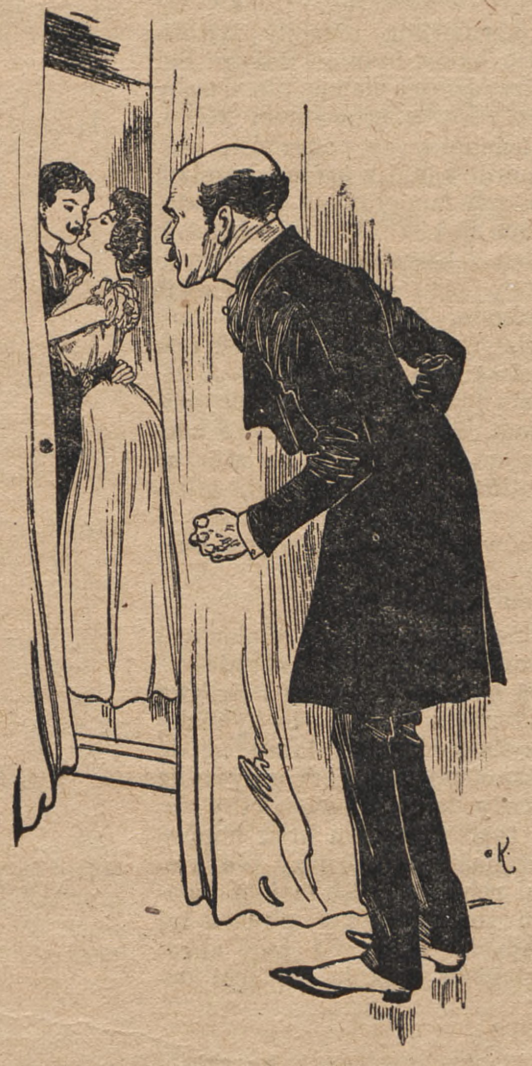


— Powiadasz, że straciłeś wszystko na giełdzie... A zatem bądź zdrów... Jestem zbyt skromną, by patrzeć na gołego mężczyznę.



— Co mistrz nam zagra na dzisiejszym wieczorze?

— Oczywiście, że do czarnej kawy „cavatinę“, a po kolacyi — fugę.



— Mówiono mi, że moja żona romansuje z jakimś nieznajomym... Potwarz... przecież to jest mój dobry przyjaciel.

Ferdek Eleuteryk.



Jeszcze tydziń, a bedzie już po karnawale, który tego roku taki był rozdyrdany, jak nigdy przedtym. Paskorze, burżuje i kaminiczniki hulali na różne dobroczynne cele, a kużda brzana była bardzo kontetna, jeśli bodaj nogami mogła być ślozy bidokom obcirająco. A litościwe te osoby nie tylko nogi są na ontarzu dobroczynności publicznyj bardzo chętnie składające, ale są bardzo kontentne, jeżeli mogą i jaką inną czyńścią ciała przyczynić się do ślachetnygo dzieła.

Jednym słowem, Kraków pokozoł światu perskie oko, że mu wojna rady nie dała i że se nie jest nic z tygo robiący, choć w gębę nima co być wrażającym, chyba palce, a wtedy ma tak mądrą minę, jak nieprzymirzający profesur uniwersytetu, rozmyślający nad kwadraturą koła, abo recezyją z baletowygo przedstawinio, bo dla takigo uczonygo wszystko dwa co mo być grypsający. Dla takij makówy, z przeproszynim nie do pozłoty (złoci sie zwykle jensze czyńści ciała, nie makówy!,..) to bagatela!

Wracający do karnawału, musimy stwierdzić, że publicznych balów było od Bożygo Narodzynio do dziś trzydzieści siedm, nie liczący takich, które odbyły się w prewetnem kółku, różnygo rodzaju tańcujoncych ponczków, iminin teściowyj, zamordowanio z przeproszyniem wieprzka, i podobnych famielijnych uroczystości ze staropolskom gościnnością i goroncom pszekonskom. Jeden z kawalerów dyrdających narzykał, że bez ten jeden miesionc zdar dwie pary lakirów, a szkode, jakom bez to poniós, musi se być w wielgim poście bez pasek (ale nie świntygo Franciszka!...) odrabiajoncy. A pewno brzana, gdy sie jom zapytano, gdzie dziś dyrdo, odpowiedziała, że nie jezd jeszcze zdecyduwano, zaproszono jom bowiem na wieczur na Ślak i na Smolińsk i sama nie wi, gdzie mo poknająć.

— Jezdem — mówiła — jednom nogom tam, drugom tam!..

To słyszący, pomyślałem sobie:

— Ślak... Smolińsk... Jo chyntnie znalozbym sie wtedy na Piasku, bo to akurat som środek!...

Gdyby tak ktoś był taki ciekawy i zapytoł sie którygoś lub któroś z tych, co to cybuchy swoje i jensze czyńści ciała na dobry cel do używanio byli oddajoncy, jako jest przyczyna owygo ogólnygo rozdyrdanio, dowiedziołby sie, że u jednych był tygo powodem brak hopów, u drugich ich zatrzeńsinie. Ci drudzy nie wiedzieli, co z hopami robić, tyle ich majom i poszli dyrdać z tygo zmortwinio, a pirsi w tyj nadziei, że wytrzensom ze siebie tego chroboka, który im eingiem spokoju nie jest dajoncy.

A jak sie bawili?...

Za dawnijszych czasów bywała zabawa, szczególnij na takich prewetnych dyrdaniach na grande, a wyżyra wszędzie była, jak się patrzy. Młody gawer, który nie żałowoł cybuchów przy obracaniu starych i młodych brzan, wiedzioł dobrze, że se za te kantyne fest wyfutruje, a najwinksze było dla niego zmartwinie, jeżeli mu przed kolacyjom pękły z przeproszyniom portugalie i musioł sie być cichcem wynoszący.

Dziś, pożal sie Boże, staropolsko gościnność zeszła na psy, przyińcie jest wprawdzie goronce, ale przekonska najwyżyj zimno i to kanapeczki, kużda z jednym plasterkiem kiołbasy na wirzchu (tyle ich akurat, ile gości, a czasem i mnij) i śklonka arbaty ze sacharynom. Z tygo trudno se być przykonanie wyrabiającym, czy w tyj rodzinie warto sie starać o posade zińcia. Gospodynie gwarzom, że dyrdanie o pustym żondołku jest weselsze, a facet przyknajoł tyż przecie na zabawe, nie na wyżyrke.

Na publicznych balach jezd zawdy bufet ale teroz, chconc se co fundnonć, trza mieć kabze należycie wywatowanom, a wiadomo, że młody człowiek, dla letkości, jest zwykle hopy w chałupie zostawiajoncy.

Na publicznych bolach nima zresztom tyj swobody, jak na prewetnych. Tam trza obracać różne stare brzany i człek jezd nieroz w kłopecie, aby mu sie towarzyszka w hołupcu nie roztrzęsła. O takich zabawach jak downi *Florabol,* dziś ani słychu i świnty pamińci reduty w Starym Tyjatrze z tulipanami i inakszymi kwiotkami i cukierkami należom już do wspomnień.

Na ogół przecie dyrdanio było dość. winc karnawoł sie udoł. Za nim lezie wielgi post, zwykle sie w Popielec zaczynajoncy, ale tygo roku, wyjontkowo, majoncy trwać od Nowygo Roku aż do Sylwestra, „bo sie stosonki poprawiajom"... (naturalnie z pieca na łeb!...). Popielec mo być odwołany z powodu braku popiołu, bo sie w piecach nie poli, a i śledzi nie bendzie, gdyż *Puzapp* ma być zwinienty, a on nam był zgniłych śledzi dostarczajoncy.

Minister od fryganio jest pono z tygo powodu list pasterski do narodu przygotowujoncy z wezwaniem, aby sie, ze wzglendu na zbawinie duszy, odzwyczajeł od obżarstwa.

Zbrodnia przy ul. Floryańskiej.

Bądźcie spokojni
Bandyci, zbóje!
Duch Krupińskiego
Wciąż pokutuje...

I tak jak ongi
Z zbrodnią na Szlaku —
Z zabójców Zahna
Nie ma i znaku! —

Z dwóch ofiar naraz
Zrobiono sznycle —
Węszyły zwłoki
Pieski i szpicle.

Węszyły wieczór
Aż do obiadu
I wywęszyły,
Że brak jest śladu!

Bądźcie spokojni
Bandyci, zbóje!
Duch Krupińskiego
Wciąż pokutuje...

Wielka to zbrodnia
Jest wydrzeć życie
Lecz jeszcze większą,
Jest niewykrycie.

Według sumienia
I mego sądu
Ja taki wniosek
Stawiam do Rządu:

Wyrzucić z służby
Kiepskiego szpicla,
Psy policyjne,
Oddać do hycla!





„Nowak".

Czem u niemców pospolicie
Są Majery i Millery,
Tak znów w Polsce, gdzie się ruszyć
Jest Nowaków do cholery!

Nowak fryzyer, Nowak krawiec,
Nowak kupiec, antykwaryusz
Nowak ajent policyjny
I handełes i notaryusz.

Wszędzie spotkasz się z Nowakiem
Tu czy ówdzie, tak, czy owak —
Coś pod płotem w trawie leży
„Kto to? - spytaj... piszczy: „Nowak!"

Aby byli w ewidencyi —
Ja podaję projekt taki:
Niech urządzą zjazd w Krakowie
Konskrypcyjny zjazd — Nowaki.

Nowak internacyonalny
Polak, niemiec, czech i słowak —
Gdzie się ruszysz — słyszysz tylko:
„Nowak, Nowak, Nowak, Nowak!„

Fałszerz.

Prowincyał, zwiedzając jeden z klasztorów, spostrzega mnicha, klęczącego w korytarzu, obok zegara. Pyta zatem gwardyana:

— A ten dlaczego tu klęczy?

— Bo oszukiwał przy grze!... — odpowiada zagadnięty.

— Jak to?.. Przecież ślubowaliście, że kart do ręki nie weźmiecie!

— I tak też jest!...

— A w cóż gracie?...

— We faramuszkę, proszę ojca prowincyała.

— Nie znam tej gry!... Na czem ona polega?...

— Po obiedzie siadamy wszyscy dokoła stołu, a każdy składa markę do puli... Któremu mucha siędzie najpierw na nosie, ten wygrywa i zabiera pulę...

— I w jakiż sposób on przy tej grze oszukiwał?

— Zwróciło to naszą uwagę, proszę waszej przewielebności, że on coś zbyt często wygrywa... Nikomu, tylko jemu siadały ciągle muchy na nosie... I cóż się pokazało?... Ten łajdak smarował sobie stale koniec nosa miodem i w ten sposób krzywdził nas, biedaków...

Znawca biblii.

— Czyim synem był Mojżesz?... — pyta nauczyciel.

Na to odpowiada Baumgarten:

— Mojżesz był synem córki króla Faraona...

— Co też pleciesz!... Ona go przecież znalazła nad Nilem, gdy się wybrała do kąpieli...

A Baumgarten na to, śmiejąc się:

— To ona tylko tak opowiadała, bo ją było wstyd, ale temu nikt nie wierzy!...

Fatalne omyłki druku.

Z kalendarza: Św. Franciszka z Anyżu.



Z listów Hermogenesa Klapy.

Kochana Redakcyo!

Jak już w poprzednim liście donosiłem, zrezygnowałem z objęcia posady *Kizlar-agi* i, nie czekając na nominacyę, do której przeprowadzenia kazał już sułtan nóż wyostrzyć, siadłem na samolot, wypiąłem na Konstantynopol... plecy i wybrałem się do Rjeki, aby ratować mojego przyjaciela D'Annunzia.

Ale każdy wielki człowiek ma jakiegoś mola, który go gryzie. Sokrates miał złą żonę, Stwora ma pono tasiemca, D'Annunzio republikę, a ja pecha, który mnie od samego urodzenia prześladuje i stale mi na każdym kroku, choć go o to bynajmniej nie proszę, towarzyszy.

Nie opuścił mnie też i w drodze z Konstantynopola, skąd wprawdzie udało mi się wywieźć bez szwanku moje familijne klejnoty, ale zato zabłądziłem. A podróż powietrzna ma tę złą stronę, że nie można wstąpić do karczmy i zapytać się, czy się leci w odpowiednim kierunku.

Noc była ciemna, wiatr niepomyślny, zatem nic dziwnego, że nazajutrz rano znalazłem się, zamiast we Fiume, nad ziemią włoską, co poznałem po dochodzącym z dołu miłym zapachu pomarańczówki. Widocznie przeklął mnie sułtan, który odpowiedział na moje pożegnanie depeszą iskrową, przejętą przez mój aparat: *Aluk eizd eb alu odson!*

Ba!... Ale tu jeszcze nie koniec moich kłopotów. Po wylądowaniu, co nastąpiło zupełnie gładko, niczem po wazelinie, choć jej z zasady nigdy nie używam, przekonałem się, że jestem we Włoszech, właściwie tam nie jestem. Jak pech, to pech!...

Włochy, jak Redakcyi zapewno wiadomo z geografii, mają kształt buta, nic też dziwnego, że w samym ich środku znajduje się rzeczpospolita *San Marino,* w której ster rządów spoczywa w rękach przedstawicieli sławetnego cechu szpadałów, tworzących tamtejszy patrycyat. Przypomniało mi to naszą kochaną Żołynię pod Rzeszowem, gdzie również szewcy są górą, a zarząd gminy, zawiadamiając swojego czasu starostwo o przebiegu jakiejś epidemii, doniósł, iż w pewnym okresie czasu zapadło na nią „trzech szewców, czterech ludzi i ośmiu żydów", dając w ten sposób do zrozumienia, że szewcy, to „nadludzie".

Otóż w tej włoskiej Żołyni, czyli w San Marino, znalazłem się zupełnie mimowoli. Na szczęście nie był to *blaumontag* (który tutaj obchodzony bywa jako narodowe święto...) spotkałem zatem, choć pora była dość wczesna, jakiegoś obywatela, naturalnie szewca, niósł bowiem na drągu kilka par butów.

Lubię zaczynać zawsze od głowy (szczupak jest lepszy od ogona!... przyp. zecera), zapytałem też o mieszkanie prezydenta. Początkowo widocznie mnie nie zrozumiał, choć mówiłem włoszczyzną i to zupełnie klasyczną, później domyślił się o co mi chodzi, gdyż rzekł:

— Aha!... *Podesta?...*

— Może być — ja mu na to — że się nazywa Podeszwa, ale ja dotąd znać go nie mam przyjemności...

Wychodziłem z założenia, że skoro u nas może być mistrz Przyszczypek, w San Marino może być Podeszwa. Później dopiero przyszło mi na myśl, że to nie nazwisko, ale tytuł, odpowiadający godności naszego burmistrza.

Uprzejmie wskazał mi kierunek (wogóle szewcy włoscy, jak się przekonałem, są bardzo grzeczni, chcieli mi nawet na kredyt uszyć parę butów...), udałem się zatem do mieszkania *podesty,* aby się poinformować o miejscowych stosunkach i ewentualnej audyencyi u prezydenta republiki.

Niestety, nie zastałem go, żona zaś, zajęta praniem, zawiadomiła mnie, że wyjechał do sąsiedniego miasta na jarmark z butami i dotąd nie wrócił.

Poznać po niej, że Włoszka i że ma ognisty temperament, dodała bowiem:

— Pewnie się znowu, z przeproszeniem godności pańskiej, schlał jak świnia!... Ale już ja zrobię z nim porządek, gdy wróci... Pan może z zamówieniem na trzewiki?...

Wytłómaczyłem jej, co mnie tu sprowadza i od niej dowiedziałem się gdzie mieszka prezydent republiki i że o tej porze najłatwiej go zastać, gdyż to jego godzina przyjęć.

W pałacu urzędowym, nad którego wejściem widniał pięknie wykonany but, oświadczył mi podsekretarz stanu, a zarazem starszy czeladnik pana prezydenta, że ekscellencya zajęty jest odrabianiem zaległości, gdyż w ubiegłym tygodniu musiał na kilka dni opuścić kraj w celach politycznych, a zamówienia nadchodziły, on zaś znany jest ze słowności i punktualności, tworząc pod tym względem piękny między szewcami wyjątek.

Zastałem go przy warsztacie, zajętego przybijaniem obcasów. Widocznie był pod działaniem „szewskiej pasyi", która razem z południowym temperamentem zlewała się w tak energiczne walenie młotkiem, iż dziękowałem Opatrzności, że nie jestem tym biednym trzewikiem, zdającym się jęczeć pod ciosami prezydyalnego młotka.

Prezydent, choć siedział na niskim stołeczku, popatrzył na mnie z góry, gdy się jednak dowiedział, kogo ma przed sobą, rzucił robotę w kąt, rozłożył ramiona i zawołał:

— Całem sercem cię witam panie Klapa!... Jak to ładnie, że o nas nie zapomniałeś!...

Wytłómaczyłem, co było powodem mojego przybycia tutaj, on zaś na to:

— Błogosławione niechaj będą wiatry, które nam takiego gościa przyniosły!... Ale ci to na sucho nie ujdzie... Oj nie!...

I mimowoli ścierpła na mnie skóra. Przypomniał mi się sułtan i nominacya na *Kizlar-agę,* a przez myśl przeszło:

— Co też ten znów myśli ze mną zrobić?... A nuż mi zechce wbić szydło w którą z najboleśniejszych części ciała?...

Pokazało się, że byłem w błędzie. Prezydent wziął mię pod ramię, zaprowadził do sąsiadujących z warsztatem prywatnych swych apartamentów i nie mówiąc wiele, wyciągnął z szafki flaszkę i kieliszek, przypił do mnie, splunął i rzekł:

— Popij bracie, nie będziesz głupsy!... To, zwłaszcza rano, dobrze robi!... Zaraz każę starej, aby nam usmażyła jajecznicy!... No!... Jeszcze po jednym!... Człowiek chodzi przecież na dwu nogach...

Rozpoczęliśmy rozmowę, w ciągu której dopytywał się ciekawie o krakowskie stosunki:

— A szewców u was dużo?

— Ogromnie!... — ja mu na to — U nas z amatorstwa szyje buty jeden drugiemu!...

— To bardzo ładnie!... To mnie cieszy!... A są u was w poszanowaniu?

— Oczywiście!... Mają nawet swoją własną ulicę... Ja sam kłaniam się pierwszy na ulicy mojemu szewcowi...

— To mi się podoba!... Tak być powinno. Gdyby nie szewcy, czy pokazałbyś się pan na ulicy bez butów?... Zapewne zatem zajmują u was oni wysokie stanowiska...

— To się rozumie!... Jeden był nawet swojego czasu trębaczem na wieży Maryackiej... A co niedzielę i święto wybierają się z rodzinami za miasto i z Sikornika patrzą z góry na Kraków...

— Wiedzie się im zatem nie najgorzej?... — pytał dalej.

— Tak!... Choć my, tak zwani inteligenty, liżemy łapę i odmawiamy sobie wszystkiego, pan majster nie żałuje sobie niczego. Gęsinka, to dlań nic dziwnego, a w niedzielę tak sobie zwykle dogodzi, że w poniedziałek choruje i musi klin wybijać klinem...

— I u nas nie jest inaczej!...

— Ale też za to, jak wystawi rachunek za robotę, to taki, że nie powstydziłby się go ani aptekarz...

— Ja z rachunkami nie mam nic wspólnego!... Od tego jest Prezes Najwyższej Izby obrachunkowej... Rekurs od wymiaru wnosić można do Najwyższego Trybunału.

— U nas, niestety, są rekursy niedopuszczalne... Chyba... „na *główny Verlag*"... Co się tyczy słowności, to już, przyznać trzeba, nasi nią bynajmniej nie grzeszą... Obuwie trzeba zamówić rok naprzód i potem jeszcze rok czekać nad program...

— Tak!... Ale się ma za to artystycznie wykonane buciki... Siadaj!... Wezmę ci miarę, a potem, gdy będą gotowe, otrzymasz je w drodze dyplomatycznej... Nie mamy dotąd w Polsce swego przedstawiciela, ale go mieć będziemy. Nawiążemy wzajemne stosunki...

— Bardzo to będzie wskazane!... Dotąd szył nam buty stale Lloyd George...

— Gdzie on się tam zna na tem!... To niefachowiec!...

— Owszem!... W tym kierunku okazuje wybitne zdolności...

Czas nie czeka, musiałem się zatem zabrać do odjazdu, ale prezydent nie chce mnie puścić, oświadczając, że byłby „szewcem" nie człowiekiem, gdyby pozwolił odjechać rychło tak miłemu gościowi, który musi dokładnie poznać tutejsze zwyczaje i obyczaje.

Cóż było robić?... Ze względu na tę obiecaną parę butów i starowłoską gościnność, której prezydent daje mi na każdym kroku dowody, zostaję tutaj jakiś czas, a może i ja nauczę się szyć innym buty. Dodać muszę, że pani prezydentowa jest sobie wcale niczego i zupełnienie przypomina naszych pań majstrowych... Zauważyłem, że robi do mnie „perskie oko" i boję się, aby mąż jej tego nie spostrzegł. — Włosi są zazdrośni, zwłaszcza zaś na tym punkcie, a ja nie mam bynajmniej ochoty paść ofiarą jego *vendetty...*

W każdym razie dobrze mi tutaj i mocno żałuję, że nie urodziłem się szewcem.

Do zobaczyska! *Klapa.*

NADESŁANE.

Właściciele wydawcy: Spadkobiercy St. Lisińskiego. Odpowiedzialny redaktor: Konstanty Krumłowski. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarz. Stefana Karczmarskiego.



Atleta — na arenie zuch,
Powalić może naraz dwóch,
Lecz za to w domu, wyznać śmiech,
Nie może zliczyć nawet trzech!